

J. HAWTHORNE.

# Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

(Ciąg dalszy).

Z punktu widzenia moralności możnaby o tem, tak różnorodnem zebraniu myśleć Bóg wie co, dla oka jednak nie było piękniejszego i bardziej pojętnego obrazu. Olbrzymia sala jaśnieje tysiącami światła, wśród których powiewają z szelestem setki chorągwi, spływających z pośród zielonych girland. W szerokiem półkolu, w łóżach i balkonach, faluje morze jedwabiu i atlasu, powiewają strusie pióra, skrzą się cudnymi blaski perły, dyamenty i inne kosztowności. Na dole przepych jeszcze większy; tu wesołość panuje niepodzielnie, nie krępowana żadnymi względami umiarkowania. Morze światła rozlewa się po pstrobarwnym tłumie, a promienie jego odbijają się i mienia w drogich kamieniach, które mało tylko przewyższają blaskiem śmiejące się oczy wszystkich zebranych. Fantastyczne maski, pstre domina, bogate suknie przewijają się jak wody potoku na kwiecistej łące. Spojrzenia spotykają się, pytają, odpowiadają sobie. Białe ramiona, cudnie toczące ręce podnoszą się i opadają. Tysiąc najrozmaitszych postaci rozbiega się, to znów zbiega, kłębi — słowem, kalejdoskop barwnych, dyszących uciechą życia i żądzą zabawy obrazów.

Czego bo tam nie ma? Rycerze w zbroicach, dworzanie, paziowie, księżniczki, kwiecarki, boginie, dzicy Indianie i nimfy leśne, wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, widać tutaj w przepysznej grupie. Szczególniejszy kontrast tworzy więc wobec tego tłumu masek kilka osób niezamaskowanych, które stoją przy ścianach, jak posagi, w czarnych frakach i białych krawatkach.

Obok najbardziej fantastycznie ubranych tancerzy i tancerek zbierają się tu i ówdzie grupy widzów; głośnie śmiechy, okrzyki „hurra!“ rozlegają się co chwila po sali, zlewając się z dźwiękami muzyki, które brzmią jak czarowne melodie, pełne czaru i uroku, chwytają za serce, każą zapomnieć o wszystkim, a oddać się jeno zabawie. Różnokolorowe chorągwie drżą w ciepłym powietrzu, przesiąkniętym oddechami setek słodkich piersi.

Od godziny 9 aż do północy rósł tłum z każdą chwilą i z każdą chwilą wzmagala się wesołość. Na ulicy stały setki powozów, woźnice kłeli, kłócili się i bili. Policjanci z trudem tylko mogli utrzymać taki porządek.

W rzędzie powozów, które zajechały przed akademię muzyczną dopiero przed dziesięciu minutami najwyżej, znajdował się również jeden nadzwyczaj elegancki i powszechną zwracający uwagę. Siedziały w nim dwie kobiety, obydwie zamaskowane, jedna w sukni pomarańczowej, druga w niebieskiej. Obydwie mówiły ze sobą po francusku.

— Więc, Linko, wiesz dobrze, co masz robić — mówiło niebieskie domino.

— Może pani być spokojna — brzmiała odpowiedź — zresztą nawet w najgorszym wypadku nie obawiam się niebezpieczeństwa.

— Ach, gdyby się mój mąż dowiedział, cośmy zrobili! — zawołało niebieskie domino drżącym głosem.

— Tego się nie potrzebujemy obawiać; pan przecie odjechał wieczornym pociągami do Fildelfii i nie może wrócić wcześniej, jak jutro.

— A jednak ta myśl nie daje mi spokoju. Powinam mu była wszystko powiedzieć. Dlaczego tego nie zrobiła?

— W liście było najwyraźniej zastrzeżone, że pan o tem nie ma nic wiedzieć.

— Ach, ale to był list anonimowy. Gdyby piszący go miał dobre zamiary, to byłby przecie wymienić nazwisko. Co on mi może powiedzieć? Ludwik umarł — i teraz nie mam tu nikogo oprócz męża — a przecie w liście napisano najwyraźniej, że dowiem się rzeczy bardzo ważnych, dotyczących drogiej mi osoby. Kto to może być?

— O tem się przecie dowiemy — rzekła Linka — nieszczęścia nie będzie z pewnością. Ow anonim, mniejsza o to, kim on jest, „będzie mówił z pomarańczowem dominem, które będzie miało w jednym uchu kolczyk dyamentowy, w drugim kolczyk z rubinami“. Ponieważ zaś na jego życzenie stosownie się ubrałam, więc on zwróci się do mnie. Jeżeli się przekonam, że rzeczywiście ma nam coś ważnego do powiedzenia, to poproszę go, aby chwilę zaczekał i wtedy wykonamy nasz plan. Jeżeli to jednak tylko pospolity wydrwigrosz, to przecie poznamy się na nim i umknijemy mu z przed nosa.

— Pragnęłabym — rzekła druga kobieta z westchnieniem — aby się jakie nieszczęście nie stało. Na Boga, Linko, bądź ostrożna i nie popełnij jakiego głupstwa! Przypominasz sobie dokładnie, gdzie się macie spotkać?

— Niech pani będzie spokojna, znam wszystkie jego wskazówki na pamięć. Ale, wysiadajmy!

Obie damy weszły na schody, wyłożone czerwonym sukniem, oddały przy drzwiach portyerowi swoje zaproszenia, złożyły okrycia w garderobie i wyszły na balkon, skąd mogły doskonale obserwować bawiących się w olbrzymiej sali i łatwiej znaleźć osobę, dla której tu przybyły. A trzeba dodać, że w liście był dokładnie opisany kostium, w jakim miał być ów nieznajomy.

Naprzód nie mogły się zupełnie zorientować w tłumie. Powoli jednakże wzrok ich przyzwyczaił się już do ruchliwej masy bawiących się, tak, że już potrochę mogły się zorientować. Naprawdę jednak szukały wśród masek człowieka w białym kaftanie i białych spodniach z niebieską gwiazdą na plecach i próżnem gniazdkiem ptasim w ręce. Był to kostium, który musiałby przecie odbijać z pomiędzy wszystkich innych, a jednak człowieka, który go nosił, nie mogły zobaczyć. Prawda, brakowało jeszcze całych piętnaście minut do czasu, wyznaczonego przez owego nieznajomego w liście.

Podczas, gdy obie damy zajęte były rozglądaniem się po sali, do loży, znajdującej się obok balkonu, weszło dwóch mężczyzn i zajęło miejsca. Jeden był szczupły, dosyć wysoki; ubrany był w czarny surdut, na twarzy miał jedwabną czarną maskę. Drugi zaś, wielki, barczysty chłop, o prostej ordynarnej twarzy, na której malowała się dobroduszość i ograniczoność, miał na sobie zwyczajny płaszcz, na szyi gruby, wełniany szal; na rękach nosił olbrzymie, zabrukane rękawice. Wyglądał wogóle za dorożkarza, wziętego wprost z ulicy; ale bo też nie był to nikt inny jeno nasz stary znajomy mister Bride.

— Teraz szybko — ozwał się towarzysz Bridego — wytrzeszcz pan oczy i szukaj pan go. Jesteś pan przecie pewny, żeś go pan widział, jak wchodził do bramy.

— Będę się starał — odparł ostrożnie woźnica. — Poznałem go na pierwszy rzut oka. On był w własnej osobie. Tasama wysokość, tensam chód, wszystko to samo. Jego wiozłem w noc noworoczną, nikogo innego, jestem o tem przekonany.

— Widziałeś pan twarz? Bo może był zamaskowany?

— Tak jest, proszę pana. Ale to było tak: Stałem właśnie na schodach i chowałem do woreczka pieniądze, jakiem właśnie otrzymał za jazdę, kiedy on nadjechał w swoim kabryolecie i wyskoczył tuż przedemną. Surdut miał podszewkę czerwoną, to znaczy, że on prawdopodobnie tu przewdziął go na drugą stronę i będzie w czerwonym surducie. Na twarzy miał wprawdzie maskę, ale kiedy wyjmował sakiewkę, podniósł maskę do góry. Wtedy ujrzałem jego twarz i niech mnie kule biją, jeżeli się mylę, że to on!

— To szczęście, że właśnie w tej chwili ja się tam zjawiłem — rzekł do siebie półgłosem jego towarzysz. — Był to zresztą czysty przypadek, że idąc do biura, tutaj się zatrzymałem na chwilę. Więc żona z nim nie przyjechała, powiada pan?

— Nie, przynajmniej nie w kabryolecie; może się tutaj miał z nią spotkać.

— Czego on tu wogóle ma szukać? Muszę ja to zbadać. Ale, ale! Nie widzisz go pan jeszcze?

— Eh, bo też tutaj niełatwo się zorientować. Dalibóg, zupełnie taksamo, jakby kto pijanemu kazał liczyć gwiazdy — rzekł Bride, otwierając szeroko oczy. — Gdyby tam na dole wszyscy na parę sekund stanęli, możnaby go zobaczyć, ale oni się kręcą i kręcą — nie, dalibóg, nie dam rady!

— No to zejdźmy na dół, może go spotkamy w sieni.

Powstał szybko i ślimaczym krokiem wyszedł z loży, a za nim dorożkarz.

Dama w niebieskiem dominie odprowadziła ich oczyma, w których się malował przestach i zdenerwowanie.

— Linko — szepnęła, trzymając ją silnie za rękę — głos tego dorożkarza wydał mi się tak znajomym! Nie łudzę się z pewnością. Nie wspominałże on o nocy Sylwestrowej?

— Mówił coś, że kogoś w tę noc wiozł. Ale co nas to obchodzi?

— *Mon Dieu*, wiesz przecie, że tej nocy mój mąż i ja... Wiesz. Chodźmy do domu! Zaraz! Jeżeli to on, jestem zgubiona!

— Ależ dlaczego, *madame*? Nie rozumiem pani!

— A przecie to takie jasne! On mówił, że wi-

dział dzisiaj na schodach tego pana, którego wiozł w noc Sylwestrową. Mój mąż musi więc w tej chwili być tutaj. Prawdopodobnie dowiedział się, gdzie jestem i szuka mnie. Nie mamy czasu do stracenia. Uciekajmy stąd, zanim nas spostrzeże.

— Ależ pani — uspokajała ją Linka. — Myli się pani z pewnością. Nawet gdyby mąż pani był tutaj, to przecie w żaden sposób nie mógłby pani poznać. Mamy zresztą pewne podstawy do przypuszczenia, że on jest w tej chwili o kilkadziesiąt mil od nas oddalony. Co się tyczy tego dorożkarza, to przecie oni wszyscy wyglądają jednakowo i głos mają podobny. Niech pani tylko pomyśli, ilu to dorożkarzy jeździło w noc Sylwestrową aż do białego rana! To prawie nieprawdopodobne, żeby ten właśnie jechał był z państwem. — Ale, niech no pani popatrzy! — zawołała nagle, wskazując ręką na dół sali.

— Gdzie? Na środku?

— Nie, nie, tam w kącie, pod tą wielką girlandą. Widzi pani?

— Widzę.

— To on. Białe kaftan, niebieska gwiazda, gniazdo ptasie w ręce — wszystko się zgadza. Skoro się pani na tyle odważyła, to w ostatniej chwili chyba się pani nie cofnie. Zresztą ja tu jestem, a przecie ja mam z nim mówić!

— Dobrze, żeśmy to tak ułożyły — odparła druga kobieta drżącym głosem — trzęsę się cała z obawy i nie byłabym zdolna do niczego, nawet choćby mnie konieczność zmuszała. Jak możesz być tak spokojną, Linko? Taką cię jeszcze nigdy nie widziałam.

— A ja aż skaczę z radości! — odparło młode dziewczę i wstało. — W masce czuję się tak swobodną, jakby mnie nikt nie widział. To nawet bardzo przyjemnie być tak choć na chwilę pozabawioną swego własnego „ja“. Nie boję się nikogo i niczego. Dlaczego ludzie, znużeni życiem, nie zakładają masek na twarze, zamiast sobie życie odbierać? Przecież wtedy czuliby się zupełnie innymi i mogliby żyć najspokojniej w świecie. Teraz rozumiem, dlaczego tylu ludzi przychodzi na bal maskowy!

— To straszne — szepnęła kobieta w niebieskiem dominie. — Gdyby tak znaleźć się teraz daleko stąd, gdzieś w bezpiecznem miejscu!

Poddawała się jednakże w zupełności swojej towarzysze i obie wyszły na schody, wiedące do wielkiej sali balowej. Przeciskając się przez tłumy doszły nareszcie do tego miejsca na sali, które było przeznaczone na schadzki z nieznajomym. A miała ona nastąpić po prawej stronie estrady, może w odległości czterech kroków od pierwszej loży.

Tutaj było miejsce prawie puste, a posiadało jeszcze jedną rzecz, którą Linka odrazu zauważyła. Pomiedzy kulisami a jedną z łóż zawieszona była wielka czerwona zasłona, za którą było miejsce wolne, nadające się bardzo dobrze do ukrycia się i podsłuchania rozmowy.

Odrazu więc zwróciła Linka uwagę swojej pani na ten szczegół i rozglądała się, czy niema tam jakiego otworu, przez który możnaby się dostać za zasłonę. Znalazła go i zaraz obiedwie wsunęły się za nią. Przedostały się wreszcie przez cały magazyn rekwiizytów teatralnych aż ku samej zasłonie i tam Linka ulokowała swoją panią jakby w jakiej twierdzy, a sama wysunęła się nieznacznie na salę, gdzie już na nią oczekiwał człowiek w białych spodniach, w białym kaftanie, z niebieską gwiazdą na plecach i ptasiem gniazdem w ręce.

Linka przeszła kilka razy obok niego, jakby go nie zauważyła. On jednak, jak tylko ją zobaczył, przystąpił bliżej, zmierzył ją badawczem spojrzeniem, przystanął i rzekł:

— Dobry wieczór, kwiatku pomarańczowy. Nie widziałeś gdzie mojej papugi?

— Widziałam — odparła Linka — powiedziała mi, że pana tu znajduje.

— Dobrze!

Rozmowa ta była z góry obmyślana i napisana w owym anonimowym liście.

Nieznajomy szepnął teraz półgłosem:

— Dobrze. Proszę iść za mną. Znajdziemy jakie miejsce, gdzie będziemy mogli swobodnie, bez świadków pomówić.

— Nie — rzekła Linka stanowczo, ale znać było, że starała się zmienić głos. — Musisz pan tutaj mówić, i tylko tutaj. Czego pan chcesz odemnie?

Cofnęła się krok wstecz i stanęła tuż obok zasłony, poza którą znajdowała się dama w niebieskiem dominie.

— Jak się pani podoba — rzekł nieznajomy, podchodząc ku niej. Leży to przecie w interesie